



22140153



POLISH A: LITERATURE – HIGHER LEVEL – PAPER 1
POLONAIS A : LITTÉRATURE – NIVEAU SUPÉRIEUR – ÉPREUVE 1
POLACO A: LITERATURA – NIVEL SUPERIOR – PRUEBA 1

Friday 9 May 2014 (morning)

Vendredi 9 mai 2014 (matin)

Viernes 9 de mayo de 2014 (mañana)

2 hours / 2 heures / 2 horas

INSTRUCTIONS TO CANDIDATES

- Do not open this examination paper until instructed to do so.
- Write a literary commentary on one passage only.
- The maximum mark for this examination paper is *[20 marks]*.

INSTRUCTIONS DESTINÉES AUX CANDIDATS

- N'ouvrez pas cette épreuve avant d'y être autorisé(e).
- Rédigez un commentaire littéraire sur un seul des passages.
- Le nombre maximum de points pour cette épreuve d'examen est *[20 points]*.

INSTRUCCIONES PARA LOS ALUMNOS

- No abra esta prueba hasta que se lo autoricen.
- Escriba un comentario literario sobre un solo pasaje.
- La puntuación máxima para esta prueba de examen es *[20 puntos]*.

Napisz komentarz do **jednego** z podanych poniżej tekstów:

1.

Ile wody upłynęło w Sanie od tamtego lata, kiedy pojechaliśmy z ojcem w Bieszczady? Do dziś pamiętam zapach rozgrzanego asfaltu, brudny bok autobusu, klapę nad bagażnikiem, którą podniósł kierowca w sandałach, kiedy wysiedliśmy na krzyżówce za Smolnikiem. Może to było w Stuposianach? Ojciec planował spływ od Zatwarnicy, ale już tam płynęła rzeka. Autobus odjechał. Zostaliśmy sami na pustej drodze, na gorącym asfalcie, który kleił się do tenisówek. Nagle ogarnęła nas fala ciepłego powietrza – poczułem zapach łąki i rzeki. Obłoki były bardzo białe. Płynęły wolno. Czasem przesłaniały słońce i wtedy, na chwilę, na ziemię padał cień.

Przenieśliśmy nasze „manele” (słowa ojca) dalej – na drogę do Zatwarnicy: zwinięty ponton, wiosła, namiot w niebieskim tobołku, plecak taty, mój chlebak i torbę z jedzeniem.

Ojciec położył się na wznak – w trawie za rowem. Gryzł długie źdźbło. Zrobiłem to samo i tak leżeliśmy chwilę, zmęczeni po ciężkiej podróży nocnym pociągami, a potem dusznym i gorącym autobusem z Rzeszowa – kilka godzin, w tłoku. Naokoło głowy chwiały się chwasty. Różne „błękitne podróżniki” (jak mówił ojciec): koniczyzny, krwawniki, piołuny, mięta. I te małe choinki z kwiatami jak lwie paszcze.

Patrzyłem na łąkę po tamtej stronie drogi. Nie rozmawialiśmy. Leżałem obok ojca, tak jak on założyłem nogę na nogę i kołysałem tenisówką w powietrzu. Brzęczało w trawach.

Czekaliśmy na okazję.

Ojciec uniósł się na łokciu: – Słyszysz coś?

Nie byłem pewien. Dopiero w chwili kiedy żuk ze skrzynią, nad którą powiewała zielona plandeka, wyjechał zza zakrętu, usłyszeliśmy głośny warkot. I zobaczyliśmy kłęb kurzu pod kołami. Ojciec przeskoczył rów. Uniósł rękę, ale żuk minął nas na pełnym gazie, jakby nie zauważył. Dopiero po stu metrach stanął. Kierowca cofnął wóz na wstecznym biegu, a my już biegliśmy na spotkanie – ojciec wlokąc ponton i plecak, ja z torbą na jedzenie, kuśtykając i podskakując na jednej nodze.

Spod plandeki machał do nas brodaty mężczyzna: – Chodźta, chłopaki, chodźta! Naczekał się, co? – Chwyć z rąk ojca ponton.

Wróciłem po namiot i chlebak.

Odjechaliśmy i zaraz przez szpary w dziurawej budzie zaczęło dmuchać ciepłym powietrzem. Poła plandeki tłukła nad nami o żelazne pałaki.

Brodaty człowiek wycofał się na czworakach i usiadł w kącie, blisko szoferki. Powiało od niego zapachem wódki, tytoniu i czosnku. Miał brodę, która później – kiedy wysiedliśmy w Zatwarnicy – wydała mi się trochę żółta i trochę szara, wielkie buty na nogach i flanelową koszulę. Czerwonofioletowy nos. Na głowie kapelusz nie-wiadomo-jakiego-koloru.

– Powiedz, synku – zwrócił się do mnie – jest Pan Bóg w niebie, czy nie ma nic?

Spojrzałem na ojca. Kucnął, zdyszany, ja ukląknęłam trzymając się jedną ręką zimnej deski, drugą obejmując ciepły ponton w pokrowcu. Łopotą plandeka, stróżki wiatru łaskotały policzki. Żukiem zarzucało na zakrętach. Asfalt uciekł za nami.

– Jeśli jest – odpowiedział za mnie ojciec – nie dowiemy się nigdy. Niestety.

– Usiadł wygodniej i tak jak stary oparł plecami o skrzynię żuka.

– A ja wam powiadam, chłopcy: jest! – mówił mężczyzna z czerwono-fioletowym nosem.

– Jest!

– Jest? – powtórzył ojciec.

– Przecież dokładnie mówię! Proboszcz Majdański przyszedł do mnie po swojej śmierci
45 i powiada: „jest”. „Co jest?” pytam, a on: „Pan Bóg, możesz umierać spokojnie, Słoma”.
Tak my z księdzem Majdańskim spierali się, póki żył. Ja do niego: „nie ma nic”, trochę na złość, nie?
A on krzyczał: „Ty bezbożniku, inferno* ci grozi!” I zaraz po śmierci przyszedł.

– Jak będzie most w Zatwarnicy, proszę zastukać na kierowcę – powiedział ojciec.

– Jeszcze czas, synkowie. Jeszcze czas. A wy skąd jesteście?

50 – Z Warszawy.

Dmucha przez szpary w plandece, z tyłu ucieka droga. Oglądam się – jedziemy wyżej,
motor rzeźzi, z rury wydechowej strzela. W dole świeci w słońcu rzeka, jak szabla na zielonej
łące, wśród siwych olch i ciemnych choin.

Kazimierz Orłoś, „Zimorodek”, *Niebieski Szklarz* (1996)

* inferno: piekło

2.

Gramofon grozy

Wyjechałeś. Kładę podomkę
i biorę się do porządków.

Otwieram szafę,
pod sukienkami spały
5 psy przerażenia.
Wypuszczam je, karmię.

Nakręcam
staroświecki żelazny gramofon grozy.
Zardzewiał, bo
10 nie umiałeś się z nim obchodzić.
Zawsze ręce ci drżały.

Otwieram na oścież
okno na nicość, zabiłeś je deską.
Bałeś się
15 przeciągów.
Kijem od szczotki
tłukę w sufit. Skaczę,
może podłoga zrobi się mniej solidna.

Teraz
20 wszystko jest już w porządku.
Zdrowy wiatr bezdomności
hula znów po mieszkaniu,
gramofon grozy chrypi
jakby go obdzierali ze skóry.
25 Przez dziurę w suficie
migoce piekło, podłoga
ugina się.

Biegam na czworakach
z psami przerażenia,
30 szczekamy razem.

Nareszcie znowu
żyję jak człowiek.

Anna Świrszczyńska, *Radość i cierpienie* (1993)